

odgłosy



Nr 31 (335)
2. VIII. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: **Lipcowe laury** • **Od Karajana do Kateriny Izmailowej** • **Ostatnia książka Hemingway'a** • **Z wizytą w epoce napoleońskiej** • **Ze świata filmu** • **„Tfój morderca“** • **Recenzje** • **Polonica** • **Felietony**

PŁOCK 64

Wieżowiec. Jakby dwa olbrzymie plastyki miodu połączone wewnętrznymi korytarzami. Pokoje – to ich komórki, z jednej strony otwarte na zewnątrz. Blyszcząca białolitowa szkatulka, wyłożona dywanem, posiadająca pięć grani, a szóstej nie ma. Na jej miejscu – próżnia zawieszona nad szeregową makietą fragmentu miasta. Fragment pokazowy, pod hasłem: nowe wrastające w stare.

Właściwie cały współczesny Płock jest tym młodym, potężnym drzewem, które zakorzeniło się w starych murach, powoli je rozsadza i kruszy. Tak powinien być jego nowy herb. Ale jest wciąż dawny: trzy zamkowe wieże i pod nimi szeroko, gościnnie otwarta brama.

Dzięki tej swojskiej gościnności miasta jestem tu – świadek z podziwem obserwujący pokazową makietę.

Widok zawarty w ramach wielkiego okna jest złagodzony podwójnie: werniksem zmiernych i siatką tiulowej zasłony. Cytrynowy laserunek obłocznych kształtów na zielonkawo niebieskim tle; to przestrzeń, która wypełnia ścianę w całości. Bo oczywiście skorzystałem z zaproszenia tapczana. Ale jeśli usiąść, na dolnym brzegu ramy, z linii parapetu wynurzają się maszty telewizyjny



Dalszy ciąg na str. 6

NA STR. 4 ZAMIESZCZAMY OBOK SIEBIE DWA REPORTAŻE JEDEN Z ROKU 1937 I DRUGI Z LIPCA 1964 R. OBA DOTYCZĄ TEJ SAMEJ FABRYKI ŁÓDZKIEJ CHUJELIBYŚMY POTRAKTOWAĆ JE JAKO JEDEN REPORTAŻ O DWOCH CZĘŚCIACH, ALI TO NIEMOŻLIWE, NIE ZE WZGLĘDU NA RÓŻNICĘ STYLÓW AUTORÓW OBU CZĘŚCI, ZE WZGLĘDU NA RÓŻNICĘ EPOK.

Tamten reportaż napisano dwadzieścia siedem lat temu. Miałem zamiar pójść po jego śladzie. Topograficznie nie stał na przeszkodzie, nawet ulica zachowała swoją nazwę z czasów Poznańskiego. Żelazna brama fabryki jak dawniej wzbierała wstępu na teren brzydkimi blankami.

Nowym szczegółem krajobrazu mogłyby się stać stada tuczonych gołębi. Ale ptaki najchętniej ulatują do parku „śledzia” albo na gładkie płyty staromiejskiego rynku. Jest to lot w zasięgu odgłosów zakładu na pełnym ruchu, ale zawsze ucieczka.

Topograficznie wszystko jest w porządku, w samym charakterze ulicy Ogrodowej również nie są zmiany zasadnicze. Wcisnięta między pięciopiętrowy budynek przedziałni i brudny, czarny maszynowy domów nie zachęca do spacerów ani do przechadzek. Powietrze tu też jakieś zatechłe, ciężkie jak w szafie pełnej zleżałych ciuchów.

Wygląda, że nowa jest tylko stacja CPN czynna całą dobę. Ale nowa

jest przede wszystkim sytuacja, w której powstaje dalszy ciąg reportaży I. Gutera. Nie znalazłem autora części pierwszej, jestem na to za młody. Kim był, nie wiedzą nawet ludzie, z którymi wtedy musiał zetknąć się osobiście. Na wszelki wypadek ukrył się pod pseudonimem. Wiadomo: „Na rogach, w bramach stają podejrzani ludzie i

KONRAD FREJDLICH

POCHŁAGI ROZWOŻĄ RZEKĘ

szpiegowskim oczyma odprowadzają każdego przechodnia. Ulice są bacznie pilnowane, mocniej strzeżone.” To chyba wystarczy.

Najprościej byłoby zwrócić się do któregoś z robotników o których pisał I. Guter. Ale przyjdzie samemu wziąć na barki cały ciężar gromadzenia faktów. Ani jednego nazwiska, wyjątek tylko na rzecz fabrykanta, Poznańskiemu materiał nie mógłby zaszkodzić w sferze jego klasy. Zresztą w trzydziestym siódmym więcej już miała do powiedzenia w zakładach spółka włoska.

Nowa jest także nazwa zakładów, co podporządkowane jest innej sytuacji. Były farbiarz Marchlewski kładzie na łopatkę swego pryncypala. Kładzie go systematycznie, konsekwentnie, w miarę upływu czasu. Zapytany: „Kim był Poznański?” czternastoletni uczeń na wszelki wypadek pokrywa ignorancję szkolną odzywką: „Pewnie jakiś dzia-

łacz”. Ale świat nasz składa się nie tylko z uczniów. W świadomości ogółu obie nazwy zakładów funkcjonują do dzisiaj wymiennie. Myśle o ludzkiej pamięci, a nie ewidencji.

2.

Jedna z tych, dla których przez

roku zrobił zaocznie magisterium na wydziale prawa. Jest już oczywiście mężczyzną w sile wieku, majorem milicji, ale ma go przed oczami z tych lat, gdy był chłopcem; wychował się na Balutach, tych jeszcze słowrogich.

Praca? Nigdy się nie bała nawet największego wysiłku, kobieta może dużo znieść, aż się nie chce wie-

aż się za nią ujął któryś z robotników. Majster zaniechał pościgu za ćwiartkę wódki, którą wypił z obrońcą Dominikowej w jakimś zakamarku.

Przerzywa opowiadanie i widzę, że cała dygoce. Może jednak nie trzeba mi było wspominać o tamtym reportaży z końca lat trzydziestych. Dwadzieścia siedem lat to jednak zupełnie niewiele.

3.

Zakłady pracowały prawie całą okupację. Stanęły w sierpniu 1944 r. kiedy Niemcom obrona własnej skóry wydała się ważniejsza od tkanin na śmiertelne koszule. Produkcja materiałów i tak nie mogła wytrzymać konkurencji z produkcją nieboszczyków, fabryka szła na jedną zmianę. W razie niewykonania zadań dziennych załoga miała obowiązek wykonać pracę bezpłatnie, po godzinach. Połem powieszono wszystkich, całymi salami, do kopania okopów. Może zresztą szło o pozbycie się załogi, która mogła przeszkodzić w wywiezieniu maszyn. W przedziałni kierował demontażem hitlerowiec Horn, szło o pornie. Ludzie kręcili kluczami tylko wtedy, gdy patrzył im na ręce. Nazistowska technika wojenna nie posunęła się jeszcze do wynalazku setek par oczu dla jednego Niemca.

Kiedy dewastowano fabrykę Dominikowa chodziła ze szpadłem na okopy. Było mało prawdopodobne, aby rów, który kopie, mógł powstrzymać rozwój wydarzeń na froncie. Zresztą, kiedy ruszyła ofensywa radziecka Niemcy nawet nie próbowali skorzystać z tych umocnień.

Wtedy, zimą nie zauważyła, że ją ktoś podpatrzył. Za dużo było wyspecjalizowanych oczu. Otrzępiała worek, a więc nie ma właściwego szacunku dla surowca. Zarządzono za nią pościg po halach, musiała kryć się jak wyjeta spod prawa. Inwigilacja trwała trzy dni,

Dalszy ciąg na str. 4

Nikt z pewnością nie zadał sobie tyle trudu, by obliczyć, ile miejsca poświęca prasa zachodnia samobójczej — jak się ocenia — decyzji republikanów w San Francisco. Już jednak z powierzchownych obserwacji wynika, że chociaż od zamknięcia zjazdu w Pałacu Krów minęło wiele dni, nominacja Barry Goldwata ciągle jest tematem nr 1. Jego ewentualne szanse w wyborach listopadowych oraz następstwa wysunięcia tej kandydatury dla Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników — rozważane są obszernie i szczegółowo.

Licznym artykułom i komentarzom towarzyszy niepokój z faktu, że partia republikańska okazała swe zaufanie senatorowi z Arizony i dorównującemu mu w głoszeniu skrajnie prawicowych poglądów — Williamowi Millerowi (kandydat na wiceprezidenta). Niepokój ten uzasadniony jest nie tylko platformą polityczną Goldwata, ale i coraz to nowymi faktami, których nie może przemilczeć prasa amerykańska.

Zaliczyć trzeba do nich przede wszystkim: postępowanie się metodami terroru przez ludzi Goldwata, ludzi, o których jeden z największych znawców ultraprawy amerykańskiej — Richard Dudman powiedział: „Gotowi są nie cofnąć się przed żadnym podstępem, by zapewnić swemu Führerowi zwycięstwo”, ujawnienie ścisłego kontaktu senatora z zachod-

ZAPOWIEDŹ PRÓBY SIŁ

nioniemieckim min. Seebornem — czołowym apologetą III Rzeszy, zakulisowe kontakty z najbardziej prawicowymi elementami partii demokratycznej...

Wszystko to dopełnia obrazu i przychodzi na myśl pewne skojarzenia. Pismo o nich angielski „Observer”: „Wprawdzie Goldwater nie jest Hitlerem, Ameryka nie jest Niemcami, rok 1964 nie jest rokiem 1929... niemniej istnieje pewne nieprzejmne podobieństwo”.

I dalej: „Istnieją w USA grupy posiadające idee, które można by porównać z ideami hitlerowskich. Istnieją też grupy, organizujące akty gwałtu... Ludzie ci idą wraz z Goldwaterem”.

W tej sytuacji z lamów prasy amerykańskiej nie schodzi pytanie: czy rzeczywiście Johnson, któremu konwencja w Atlantic City z pewnością powierzy kandydowanie, jest faworytem murowanym?

W to — jak miałem już okazję stwierdzić w ub. tygodniu — nie wątpią nawet goldwaterowcy. Wiele czynników działa bowiem na korzyść obecnego prezydenta.

Partia demokratyczna jest partią większości. W ciągu ponad 30 lat republikańskie mieli tylko jednego prezydenta — Eisenhowera. Tym bardziej więc obecnie — po niepełnym roku prezydentury Johnsona — nie wydaje się prawdopodobne, by republikanin miał szansę wejścia do Białego Domu. Dramatyczne okoliczności objęcia władzy przez Johnsona i niechęć Amerykanów do częstych zmian na tym fotelu — odegrają z pewnością jakąś rolę.

Ponadto ankiety wykazują, że obecny prezydent USA stał się w społeczeństwie popularny. Wbrew pierwotnym przypuszczeniom okazał się on zręcznym politykiem — w przekonaniu Amerykanów — umiejętnie kontynuującym linię Kennedy'ego w polityce wewnętrznej i zagranicznej.

Johnson, podpisujący ustawę o pra-

odgłosy W świecie

wach obywatelskich w tej samej sali, w której wystawione były niedgdy zwłoki Lincolna i Kennedy'ego — to nie tylko symbol, to ważny atut wyborczy. Może więc liczyć on na niemal jednomyślne poparcie ludności murzyńskiej i liberałów. Znajdzie także poparcie u tych republikanów, którzy nie mogą pogodzić się z kandydaturą Goldwata.

Johnson wreszcie pozyska na pewno część głosów z Południa. Fakt, że jest on pierwszym prezydentem wywodzącym się z tego rejonu Stanów Zjednoczonych, może być silniejszym czynnikiem niż gorączka rozczarowania z przyjęcia ustawy o prawach obywatelskich.

W tej sytuacji partia demokratyczna — informują korespondenci z Waszyngtonu — zamierza kampanię wyborczą rozegrać spokojnie, nie wdając się w brudne rozgrywki. Rzesze niezaangażowanych, bardzo liczących się na rynku wyborczym, zjednywać ona będzie rezultatami, osiągniętymi przez dotychczasową administrację oraz wykazywaniem demagogicznego charakteru i niebezpiecznego programu Goldwata.

Na co zaś mogą liczyć jej przeciwnicy?

Goldwater i jego zwolennicy budują swe nadzieje na antykomunizm, wizji rządów „stanowych”, niezadowolenu Południa z rozwiązywania problemu rasowego, jak również koncentrowania władzy w Waszyngtonie, co — oczywiście — ogranicza prawa stanowe.

Liczą oni na siły zachowawcze różnej maści, łącznie z tymi skrajnymi, które nie mając wyboru poprzednio — nie głosowały.

Goldwater — stwierdzają komentatorzy — ma za sobą wszystkich „zawsze wstecznych”, „włóczące wczorajszych”...

Oni ich jest w Stanach Zjednoczonych — najlepiej wykażą listopadowe wybory. Zmierzą się w nich dwie tendencje: pewnego realizmu politycznego i rozumienia konieczności odprężenia — z konserwatywną mrzonką i zmurą popisywania się siłą.

W. SŁAWSKI



— Oni zgaszą mój znicz!...

MIROSLAW CYGAŃSKI

P. E. NASARSKI — „reformator” bońskiego rewizjonizmu

Profesor Hans Koch oraz Peter E. Nasarski, publicysta i literat — to znani reformatorzy bońskiego rewizjonizmu. Działalność H. Kocha w służbie III Rzeszy przedstawiłem na łamach miesięcznika „Nadodrze”¹⁾. Drugi reformator zachodniemieckiego rewizjonizmu, P. E. Nasarski, nie był wprawdzie osobistością tak zasłużoną w służbie Hitlera, niemniej i jemu warto poświęcić trochę miejsca.

Nasarski, urodzony w 1914 r. w Łodzi, był synem majstra w fabryce Scheiblera. Już jako uczeń niemieckiego gimnazjum w Łodzi (1926—1933) działał w Deutsche Jugendenschaft in Polen — tajnej niemieckiej organizacji harcerskiej o charakterze nacjonalistycznym i antypolskim. Następnie był redaktorem w wydawanym nielegalnie w Łodzi miesięczniku „Zelte in Osten”. W organizacji tej w latach 1933—1935 zaznaczyły się wpływy hitlerowskie.

W 1935 r. P. E. Nasarski, wstąpił w szeregi „Deutscher Volksverband (DVV) czołowej niemieckiej partii narodowo-socjalistycznej w Polsce — spełniając tutaj rolę działacza młodzieżowego. Należy wspomnieć, że organizacja młodzieżowa tej partii pod wodzą Ludwika Wolfa, do której aktywistów należał Nasarski, odegrała zasadniczą rolę w procesie zasztyfikacji DVV. Dowodem uznania jego działalności przez kierownictwo DVV z L. Wolffem na czele było zatrudnienie go w charakterze redaktora organów prasowych partii — „Freie Presse” i „Der Deuts-

che Weg” w 1939 r. Przedwojenna działalność polityczna w ruchu hitlerowskim umożliwiła mu szybką karierę w okresie okupacji w łódzkiej aparacie Hitler — Jugend.

Awans E. Nasarskiego w końcu 1943 r. ze stanowiska Stammführera na Bannführera — samodzielnego dowódcę chorągwi, świadczył o uznaniu władz III Rzeszy jego działalności. Ponieważ polskie brzmienie nazwiska mogło przeszkodzić w tej karierze zmienić nazwisko z „Nasarski” na „Nasarko”, otrzymując na to zezwolenie okupacyjnej rejencji łódzkiej.

Powojenna działalność P. E. Nasarskiego w kołach przedwojennych (Landmannschaft Weichsel — Warthe i Deutsche Jugend Ostens) aż do 1959 r. nie odbiegła zbytnio od jego poprzedniej aktywności w szeregach DVV i HJ o charakterze antypolskim. W utworach literackich nie ukrywał on wprawdzie swego rozczarowania w stosunku do III Rzeszy i wyrażał pewien sentyment do Polski, jako kraju rodzinnego, lecz nie znajdowało to wyrazu w działalności praktycznej.

Zmiana nastąpiła w 1959 r., gdy Nasarski objął stanowisko naczelnego redaktora miesięcznika „West — Oestliche Begegnung”. Pismo to wydawane w Berlinie zachodnim od 1959 r. stało się głównym organem dążeń reformacyjnych rewizjonizmu bońskiego w duchu umiarkowania. Wkrótce Nasarski został tutaj następcą zmarłego w 1959 r. Kocha, wykazując więcej zrzeczności w prowadzonej akcji.

„West — Oestliche Begegnung”, opowiadając się za granicami Niemiec z 1937 r., nie uprawiał taniej propagandy rewizjonistycznej. Pismo to spełniało poniekąd rolę informatora o Polsce (publikując m. in. artykuły oraz utwory publicystów i pisarzy polskich krajowych i emigracyjnych), poświęcając jednak najwięcej miejsca kulturalnej i cywilizacyjnej działalności w niej Niemców.

Jednak za tą rzekomą sympatią do Polski ukrywały się doraźne cele polityczne — ewentualnego taktycznego wykorzystania Polaków w rozgrywkach z NRD i ZSRR o zjednoczenie Niemiec poprzez likwidację NRD.

Z poza frazesów o porozumieniu z narodami słowiańskimi oraz pokojowym współżyciu i równości wszystkich narodów europejskich wyłaniała się koncepcja „Zjednoczonej” Europy pod hegemonią Niemiec. Koch niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że tylko takie cele przyświecały jego planom reformy bońskiego rewizjonizmu, a co jeszcze bardziej charakterystyczne ten teolog nie wykluczał bynajmniej możliwości późniejszego nawrotu polityki niemieckiej do me-

tod III Rzeszy. Nasarski okazywał się ostrożniejszym w tego rodzaju enuncjacjach, lecz cel pozostał nadal ten sam mimo silniejszych dążeń z jego strony do zastąpienia zbankrutowanej niemieckiej polityki wschodniej i brutalnej agitacji rewizjonistyczno-odwetowej środowisk przesiedleńczych nową układną grą polityczną. Wystąpienia zmierzające do tej reformy na łamach „West — Oestliche Begegnung” 1959—1961 i zbliżonych tematycznie pism „Der Remter” i „West — Ost — Berichte” zyskały jednak poparcie tylko „Związku Niemieckiej Młodzieży Wschodu”, m. in. w pismach tego związku „Ostjüngend Press” i „Der Pfeil” i poszczególnych przedstawicieli Ostforschung.

Wkrótce nastąpiła jednak gwałtowna kontrakcja elementów rewizjonistyczno-odwetowych, która spowodowała upadek „West — Oestliche — Begegnung” drogą cofnięcia dotacji w październiku 1961 r. Równocześnie z nim przestały wychodzić pokrewne tematycznie „Der Remter” i „West — Ost — Berichte”.

Nasarski i jego zwolennicy nie poddali się jednak i w 1962 r. rozpoczęli w Hanowerze wydawanie nowego miesięcznika „Europäische Begegnung”. Pismo to wyróżniały od poprzedniego daleko bardziej bojowy antykomunizm i znacznie silniejszy anta-

gonyzm do NRD. Nie zadowolono to jednak odwetowców. Zamieszczane w piśmie artykuły polskich publicystów emigracyjnych, przedruki z polskiej prasy krajowej, krytyczna wypowiedź czytelników niemieckich i krajów zachodnich wobec działalności związków przedwojennych wykorzystano do oskarżeń o defetyzm, polonofilstwo i chęć rezygnacji z „niemieckiego wschodu”. Posadzono nawet „reformatorów” o pojedynczość wobec NRD i cele rozłamu ruchu rewizjonistycznego, chociaż byli oni od tego jak najdalej. Prowadzona przez prasę rewizjonistyczną nagonka zmusiła w końcu Nasarskiego do wystąpienia z redakcji pisma z nowym rokiem 1963.

Tradycyjny rewizjonizm zatrzymał więc szybko nad próbami realizowania niemieckiej „Polenpolitik” w zmienionej formie bardziej uwzględniającej wymagania rzeczywistości. Niepowodzenia dążeń „reformatorów” a co więcej gwałtowne na nich ataki (zupelnie zresztą niezasługujące uwzględniając przeszłość polityczną Kocha i Nasarskiego oraz motywy polityczne ich działań reformatorskich), stanowią dowód jak silne są nastroje rewizjonistyczne — odwetowe w kołach przedwojennych Niemiec zachodnich.

¹⁾ M. Cygański: „Z faszystowskiej biografii reformatorów rewizjonizmu”, „Nadodrze” 1963 r. nr 11.

POLONICA

Dwudziesty dziewiąty numer słowackiego tygodnika literackiego „Kultúrny Život” zamieszcza poemat Jaroslawa Iwaszkiewicza pt. „Jutro zniwa” w świetnym przekładzie Pawła Horova.

* * *

W czeskim tygodniku literackim „Literární Noviny”

ukazał się artykuł Andrzeja Kijowskiego omawiający dwa dzieła lat literatury polskiej. Autor szuka obiektywnych przyczyn, które spowodowały, że w tym okresie nie powstały i nie ukazały się dzieła mogące w całej pełni oddać doświadczenia wojny i okupacji hitlerowskiej w Polsce. Mówi, że równym próbami stworzenia obrazu tam-

tych lat były książki Adolfa Rudnickiego z epoki pięćców, tetralogia Brandysa, czy zaczęty cykl Zielińskiego „Jeszcze Polska”, czy też książki Andrzeja Kijowskiego. Kijowski upatruje niepowodzenia stworzenia dzieła o szerszym oddechu, dzieła epickiego, między innymi w tym, że rzadko kiedy epoka doświadczenia przynosi owoce tym, którzy je sami przeżywają.

W tym samym numerze „Literární Novin” znajdują się wiersze Herberta, Grochowiaka, Harasymowicza, i Karpowicza, przełożone przez znaną tłumaczkę (pre-

de wszystkim wierszy Różewicza) Vlastě Dvorczaková.

* * *

Nakładem Uniwersytetu Bolonńskiego ukazała się piękna księga „Monumenta Polonorum Bononiensium”, drukowana dwuszpaltowo w językach włoskim i polskim. Na wewnętrznej stronie tytułowej czytamy: „Uniwersytetowi Jagiellońskiemu w Krakowie w sześćsetlecie istnienia poświęca Uniwersytet Bolonński”. Przedmowę, zawierającą krótki rys dziejów współpracy obu uczelni, napisał rektor Uniwersytetu Bolon-

skiego — Felice Battaglia. W obszernym wstępie, pióra polonisty włoskiego G. B. Pighi, omówiono zasadniczy charakter książki, na który składają się herby nacji polskiej oraz nacji sarmackiej studentów artystów w Arcygnazjum Bolonńskim, bolonjskie napisy pamiątkowe doktorów i studentów Polaków, kilka przykładów wykazów imien-

nych Studium Bolonńskiego z nazwiskami doktorów Polaków oraz dokumenty kopernikowskie. Dodajmy, że dokument ten wydany został na pięknych papierze z reprodukcjami herbów, również w technice wielobarwnej. Jak wiadomo, nasza Jagiellonka wzorowana była na Uniwersytecie Bolonńskim, na którym studiowało wielu Polaków.

POLONICA

OD KARAJANA DO „KATERINY IZMAIŁOWEJ”

**Korespondencja
własna z „Holland
Festival - 64”**

Tuż trzeba mieć naprawdę zdrowe nerwy: uliczki w Amsterdamie wąskie, jak na warszawskim Starym Mieście, a na jezdni setki tysięcy rowów i sznury samochodów. W Holandii może się naprawdę odechować własnego wozu. Przez cały czas pobytu nie mogłem się doszukać wytłumaczenia, dlaczego właśnie w tym kraju panuje ten rowowy obłęd, dlaczego wszyscy, począwszy od królowej a skończywszy na gońcu używają dwu kółek i własnych nóg. Nawet ci, których już dawno stać na bardziej luksusowy pojazd...

Ale samochód dla przyjeżdżającego na „Holland Festival” jest niedozwolony: imprezy artystyczne rozrzucone są aż w siedemnastu miastach i dojazd nowoczesnymi autostradami jest najwygodniejszy. Ci, którzy nie mieli wozu musieli na długo przed końcem koncertu czy przedstawienia operowego opuszczać sale, żeby zdążyć na ostatni pociąg do Amsterdamu, gdzie była główna baza „festiwalowa”.

Ambicje artystyczne i rozmach tej imprezy budzą podziw — to obok Edynburga... największy na świecie festiwal. Wystarczy powiedzieć, że w tym roku w przeciągu miesiąca wzięło w nim udział 2500 artystów w 184 koncertach i przedstawieniach zaprezentowanych prawie 200 tys. odbiorców; zaproszono na koszt organizatorów ponad 100 krytyków muzycznych z całego świata, nie licząc dwustu miejscowych sprawodawców.

Muzyka symfoniczna i kameralna, występy zespołów chóralnych, operowych i baletowych, teatrów dramatycznych, recitale solistów — wszystko to składało się na imponującą całość. Oczywiście w tej gmatwaninie imprez kilka zwracało na siebie szczególną uwagę. Ale wszystkie rekordy zainteresowania ze strony prasy i publiczności pobili Herbert von Karajan, Benjamin Britten i Mściśław Rostropowicz...

WIELKA WOJNA O KARAJANA

Wiedeń kocha Karajana — ale Karajan obraził się na Wiedeń... Nie na wiedeńczyków — bo ich podziw dla wielkiego dyrygenta, który od lat stał na czele Opery i Orkiestry „Wiener Philharmoniker”, nie da się wymierzyć żadnymi miarami. Ale tarcia ze środowiskiem muzycznym, trwające od lat obmierzły już świetnemu kapelmistrzowi. Wtajemniczeni mówią wprawdzie o dyktatorskich zapędach Karajana, o nielubieniu się z groźnym publicznym, o szatanianiu zawrotnymi honorariami — ale kto tam dojdzie, po czyjej stronie jest słuszność: przecież jeżeli chce

się na scenie mieć Marie Meneghini Callas czy Renatę Tebaldi trzeba płacić i to słono — trzy, cztery tysiące dolarów za występ...

Karajan nie znosi konferencji prasowych: tym większą wywołał sensację, kiedy po przyjeździe do Amsterdamu sam zaproponował spotkanie z dziennikarzami i krytykami muzycznymi. Nie trzeba mówić, jakie tłumy zwały się na to spotkanie. Mistrz był niesłycha nie ujmujący, wiele opowiadał o swoich planach i prawie słowem nie wspomniął o... Wiedniu. Zrezygnie i dyplomatycznie omijał wszystkie pytania na ten temat stwierdzając jedynie, że ma bardzo wiele propozycji, które wypełnią mu tak najbliższe lata, że nie przewiduje występów na terenie Austrii.

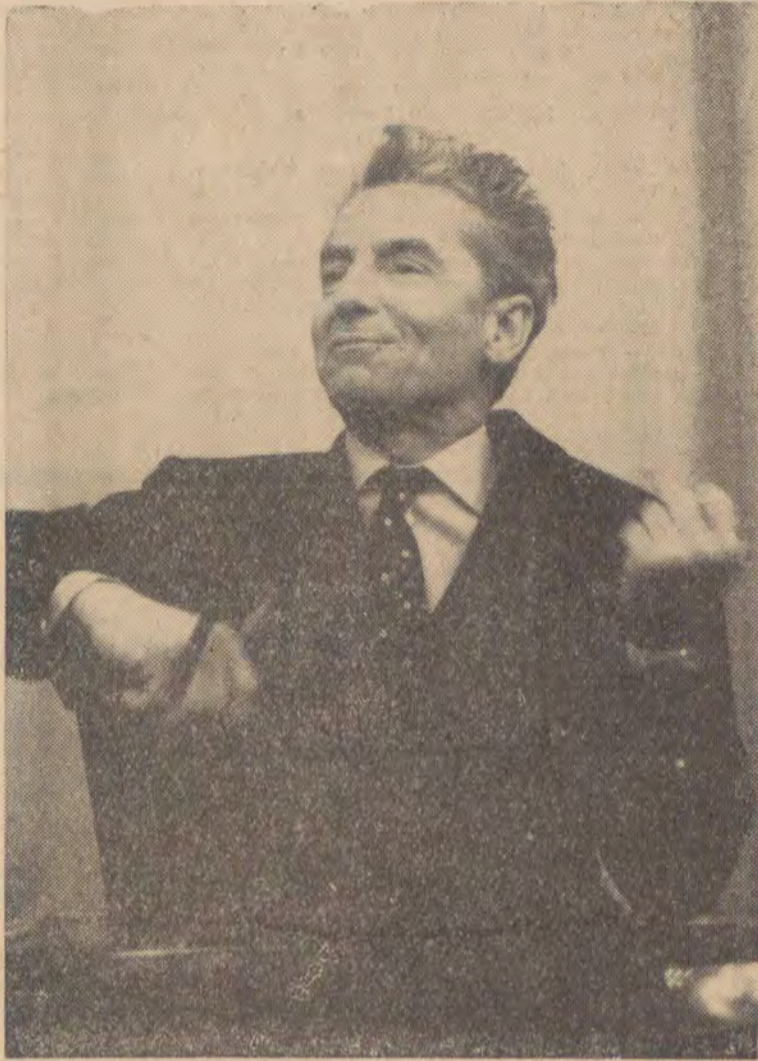
Trzeba pamiętać, że stoi on równie na czele Berlińskiej Filharmonii, z którą jest związany na stałe (o to m. in. również mieli do niego pretensje w Wiedniu, uważając, że wiele spraw muzycznych, traci w stolicy Austrii na skutek częstych wyjazdów — zresztą prywatnym samolotem do Berlina). W tej sytuacji, aby wykaazać, że konflikty leżą w sferze „administracyjnej” zapowiadał liczne występy z „Wiener Philharmoniker” ale tylko w czasie jej bytności za granicą, ale na miejscu w kraju — nie! Kto wygra tę wojnę? Chyba Karajan, który już nieraz wchodził w konflikt z władzami stolicy Austrii i zawsze zwyciężała jego popularność i wielki talent, który go stawia w czołówce najwybitniejszych dyrygentów świata.

Ten szal, który panował na salach, kiedy dyrygował on utworami Ryszarda Straussa, Schuberta, Beethovena, te wspaniałe recenzje, zachylające się komplementami i rzadko używanymi przez krytyków superlatywami — to jeszcze jeden atut w rozgrywce z administracją wiedeńskiej instytucji muzycznej. A najważniejszy? Ma za sobą muzykę z orkiestry i publiczność. W chwilach szczytów Karajan mówi, że to mu wystarczy...

HOLANDIA NALEŻY DO BRITTENA

Te niespotykaną popularność angielskiego kompozytora można mierzyć wieloma faktami: umieszczeniem w programie festiwalu kilku dużych pozycji koncertowych, oratoryjnych i operowych; ilością zdjęć i wywiadów, którymi zakasał wszystkich pozostałych uczestników i tym wyjątkowym sto sunkiem do niego otoczenia — gdziekolwiek by się nie pojawił — traktującym go po królewsku.

„Wojenne Requiem” i „Curlaw River” znalazły się jednak najbardziej w centrum uwagi obserwatorów: pierwsze, napisane stosunkowo niedawno jest jakimś głę boki humanistycznym protestem przeciwko wojnie i jej skutkom. Żeby nadać jeszcze bardziej silną wymowę literackim treściom zawartym w tekście poety Wilfrida Owensa i swojej muzyce na wykonawców zaprasza zwykle radziecką sopranistkę Halinę Wiszniewską, angielskiego tenora Peter



Kto wygra tę walkę? Karajan czy jego wiedeńscy przeciwnicy? Sądząc po pełnym zdecydowania geście — zwycięstwo powinno należeć do znakomitego dyrygenta

Pears'a oraz barytona niemieckiego Dietrich Fischer-Dieskau'a. W ten sposób osiąga dodatkowy efekt społeczny a i wykonawców partii solowych, chyba najlepszych, jakimi w tej dziedzinie można w tej chwili dysponować na świecie. Warto dodać, że w tym samym „układzie sił” ukazało się płytowe nagranie „War Requiem”. Tym razem to gigantyczne dzieło (na wielką orkiestrę symfoniczną, chór mieszany, orkiestrę kameralną, chór chłopięcy i solistów) dyrygowane było aż przez dwu dyrygentów jednocześnie: kompozytora i wschodzącą sławę dyrygentką, kierowniczką artystyczną amsterdamskiej „Concergebouw” Bernarda Haitinka.

Ale że znacznie większym zainteresowaniem czekano na światową prapremierę jego nowej opery „Curlaw River” opartą na motywach starożytności. Znakomita inscenizacja, w uroczym oprawie starego protestanckiego kościoła Westerkirk, w którym zaprezentowano dzieło — podbiła z miejsca słuchaczy i można jej rokować wielkie powodzenie na scenach świata.

Jeżeli Britten był tym razem królem festiwalu — to radziecki wiolonczelista Mściśław Rostropowicz dzierżył z nim to berto do spółki. Pojawił się w Holandii po raz pierwszy: ale wystarczył jeden koncert aby wszyscy oszaleli dosłownie na jego punkcie: uznany został — i słusznie — za najwybitniejszego wiolonczelistę żyjącego w naszych czasach i chodząc w gorliwej, oblegany przez fotoreporterów, dziennikarzy, krytyków polujących na każde jego słowo, gest, wycieczkę na miasto. Rostropowicz wystąpił tu w podwójnej roli i to było dla melomanów też swojego rodzaju sensacją: towarzyszył jeszcze na recitalu grą na fortepianie śpiewaczkę Halinę Wiszniewskiej, która „w cywilu” jest jego żoną. Można bez żadnej obawy popelnienia błędu przewidywać, że ta para znakomitych artystów radzieckich przez wiele najbliższych lat będzie

zapraszana na wielki, holenderski festiwal...

POLONUSY PO... FRANCUSKU

Tłumy szturmowały kasy aby dostać się na „Borysa Godunowa” w wykonaniu jugosłowiańskiej Opery z Zagrzebia. Nie tylko dla samego dzieła, które rzadko stosunkowo jest wystawiane na scenach Zachodu, ale również aby usłyszeć wielkiego basę Mirosława Cangalovića. Udany spektakl przerywany był co chwila gromkimi oklaskami, w pełni zresztą zasłużonymi. Wspaniali wykonawcy, doskonale opanowanie sztuki wokalne i gry aktorskiej, tak potrzebne szczególnie w tej operze, doskonale grająca orkiestra... Zastrzeżenia można mieć jedynie do dekoracji, które niepotrzebnie usiłowały unowocześnić na siłę i stylizować scenę: wy daje się bezsporne, że w dziele Musorgskiego trzymanie się realizmu odtworzenia akcji pod murami Kremla, w jego salach pałacowych jest najlepszym wyjściem z sytuacji.

cji. Zaskoczeniem było dla grupy polskich obserwatorów pokazanie artystów w scenie odbywającej się na polskim dworze Mniszchów w ubiorach... francuskich. To było jakieś bardzo dziwne i trudne do wytłumaczenia nieporozumienie.

No i wreszcie drugie wielkie dzieło — tym razem Dymitra Szostakowicza „Katerina Izmałowa” oparte na utworze Leskowa „Lady Mackbet Msczeńskiego powiatu”. Po nura, pełna grozy atmosfera, narwarstwienie zbrodni i podłości, za kłamania i blichtru — wszystko to doskonale zostało odtworzone na scenie teatru w Hadze. Szczególnie wielkim sukcesem była tu kreacja tytułowej partii przez młodą śpiewaczkę chorwacką Mirko Klaric — pełna ekspresji i ozdobiona świetnym aktorstwem przy jednoczesnych znakomitych warunkach wokalnych.

Stale o zagranicznych gościach, a co z Polakami? Niestety, tym razem nasza sztuka prezentowała się bardzo ubogo i to zarówno w sensie wykonawczym jak i prezentowanych dzieł. Ograniczyło się to tylko do „Muzyki Żałobnej” Witolda Lutosławskiego, w wykonaniu Holenderskiej Orkiestry Kameralnej pod batutą dyrygenta ale i znakomitego skrzypka zarazem (polskiego pochodzenia) Szymona Goldberga, który jeszcze przed wojną opuścił Łódź i jak dotychczas jeszcze u nas nie występował.

WĘDRÓWKI PO ULICACH

Na brak zajęć w chwilach wolnych od festiwalowych imprez nie można tu narzekać: Amsterdam mieści w swoich murach aż... czterdzieści muzeów, bogatych we wspaniałe dzieła sztuki. Zaprasza do domu Rembrandta, ułatwia na „roundvarze” przejazd motorówką po kilometrowych kanałach, z pokładem, której można podziwiać piękne, zabytkowe dzielnice. Można się zgubić w małych zaułkach portowych, gdzie młode panie siedzące na sklepowych wystawach i robiące na drutach, uprawiają jedną z najstarszych profesji, tak bardzo popularną szczególnie wśród marynarzy; można godzinami włączyć się po pięknym Rotterdamie i Hadze, którą sami Holendrzy nazywają „największą wsią na świecie”. Rzeczywiście dziwna jest ta stolica kraju, gdzie jak na lekarstwo znajdują się wysokie domy a parterowa, willowa zabudowa wypełnia obrzydliwy teren...

Ciekawo to kraj: wydarty pracowitymi rękami Holendrów morzu. Toczą oni z nim walkę prawie tysiąc lat: jej bilans jest dla nich korzystny — budowaniem stałe nowych tam, potrafią wydobyc z depresyjnych terenów coraz nowe pola pod zabudowę i uprawę. „Bóg stworzył ziemię — mówią tu — prócz Holandii, którą stworzyli Holendrzy”. Wiele w tym prawdy i kiedy się ogląda wybudowane kanały, których długość równa się stu długościom Kanału Sueskiego — nabiera się podziwu i szacunku dla tego małego narodu o wielkiej sile.

— „Gdyby jeszcze tylko przestali jeździć na rowerach — narzekają cudzoziemcy... Kto wie jednak po czyjej stronie jest racja: to na pewno zdrowiej niż samochodem. Tak twierdzi nawet królowa, która przedkłada poczciwy welo-cyped nad swoje „Cadillaci” i „Rolls-Royce”...”

Fraszki Jana Czarnego

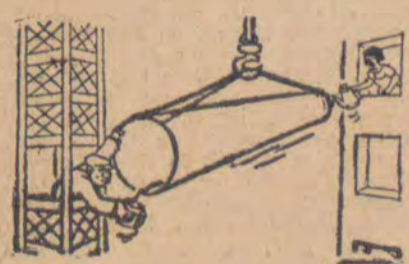
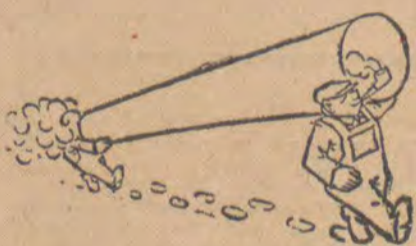
O GŁODZIE

Głodzą się nie strachem,
gdy na stole Graham.

WIESZCZ

Pisz do szuflady
wiersze i ballady.

Czego to humorysty nie wy myślą! Nawet zwykła, pocztowa rura może stać się pod ich ołówkiem obiektem żartów. Dziś trzy rury w zabawnych sytuacjach przedrukowane z niemieckiego „Eulenspiegel”.



FRANCISZEK JÓZEF i KATARZYNA SCHRATT

Franciszek Józef uchodził za cesarza raczej ograniczonego, o nie nabytym rozległych horyzontach umysłowych. Mówiono o nim, że jedyną książką, którą przeczytał do końca, był regulamin piechoty. Pełno o nim anegdot, w których przedstawiony jest jako osobnik prostacki, pozbawiony polotu i błyskotliwości. Oto jedna z tych anegdot. W czasie pierwszej wojny światowej, gdy wojskom austriackim wiodło się nienajlepiej, Franciszek Józef zapytał swego szefa sztabu, czy nie byłoby dobrze, gdyby on, cesarz, wybrał się na inspekcję frontu. Na to szef sztabu: „Na co Wasza Wysokość ma się trudzić. Poczekałmy trochę, a front tak się przybliży, że można będzie dokonać inspekcji nie ruszając się z miejsc”. I oto ten człowiek, cieszący się niekorzystną opinią biografów, sprawował rządę przez 68 lat bez przerwy. Zaprzysiężony 1 grudnia 1848 roku jako osiemnastoletni cesarz przekwał „na tym urzędzie” aż do dnia śmierci, tj. 21 listopada 1916 roku. Gdy zmarł, napisano w gazetach, że „wraz z trumną cesarza złożono do grobu starą Austrię”. Zdać się, iż historia świata nie zna drugiego takiego przypadku, by władca sprawował rządę przez tak długi, zmienny i

burzliwy okres dziejów. Franciszek Józef w pierwszej fazie swoich rządów zwolennik absolutyzmu, po przegranej wojnie z Prusami w 1867 r., dokonał przeobrażenia Austrii w monarchię austro-węgierską o ustroju konstytucyjnym - parlamentarnym, przynajmniej w obszarze dawniej Galicji szeroka autonomia. Jest faktem, że największe swobody uzyskał Polacy pod berłem Franciszka Józefa, czego nie można powiedzieć o pozostałych zaborcach, a zwłaszcza zaborze pruskim. Niedawno otrzymałem książkę, która w nieco innym świetle ukazuje cesarza dawniej Austrii. Zawiera ona obszerny zbiór listów, jakie monarcha pisał przez lat trzydzieści do Katarzyny Schrat. Ale kim była Katarzyna Schrat? Urodzona 11 września 1853 roku, w Baden pod Wiedniem, była ona aktorką słynnego Burgteatru. Choć w 1879 r. wyszła za mąż za Nikolausa Kliss von Ittebe, zachowała - jak to często u artystek bywa - nazwisko panieńskie. Pożycie z panem Ittebe nie powiodło się i, chociaż oficjalnie nie byli rozwiedzeni, w jakimś czasie po ślubie rozeszli się i żyli w separacji. Zresztą Kliss von Ittebe większość życia spędził poza Austrią na służbie konsularnej w Tunisie, Buenos Aires, Barcelonie i Algierze. Ich jedyny

syn, Antoni, wychowywany był przez matkę. Na którymś ze słynnych bałków wiedeńskich Katarzyna Schrat została przedstawiona Franciszkowi Józefowi i oczarowała go. Zawiązała się między nimi znajomość, spotykali się i pisywali do siebie listy od 1886 do 1916 roku. Trzeba tu wspomnieć, że żona Franciszka Józefa, cesarzowa Elżbieta, kobieta bardzo piękna, nie nadawała się doń, lubiła natomiast podróże i całym miesiącami przebywała za granicą. Kronikarze twierdzą, iż rada była z faktu, że Franciszek Józef znalazł sobie przyjaciółkę i że ponoć sama zabiegała o to, by ich do siebie zbliżyć. Różne panują poglądy na temat charakteru i stopnia owej przyjaźni cesarza z aktorką. Wypada jednak zauważyć, że kiedy po śmierci cesarza dziennikarze i wydawcy zabiegali o listy i wspomnienia Katarzyny Schrat, zachowała się ona powściągliwie i odrzuciła najbardziej nęcące propozycje finansowe. Tom listów, który otrzymałem obecnie zza granicy, obejmuje jedynie listy cesarza. Co zaś dotyczy listów jego przyjaciółki - niewiadomo, czy ocalały i gdzie się znajdują. Z grubej książki listów cesar-

skich (ponad 400 stron druku), pisanych na przestrzeni tak długiego czasu, w różnych okresach historycznych i w różnych miejscach, wylania się sylwetka Franciszka Józefa, jako człowieka skromnego, pełnego taktu, rzetelnego i akuratanego, czulego i delikatnego. Jest nieśmiały jak uczeń, zawstydzony jak młodzieniec, który ma złożyć pierwszą wizytę u rodziców swej narzeczonej, zabawny jak każdy zakochany. Popatrzmy, jak w jednym z listów wzycha pięćdziesięciosiedmiolletni już cesarz: „Dzień, w którym miałem szczęście widzieć się z Panią w Schoenbrunn, wydaje mi się tak odległy, że pragnę w tej chwili, przynajmniej na drodze listownej, poobcować z Panią”. Pewnego razu cesarz wybrał się do miejscowości kura cyjnej Ischl, by w jednym z tamtejszych zakładów poddać się małowemu zabiegowi kosmetycznemu. Oto, jak opisuje to wydarzenie w liście do Katarzyny Schrat: „Na czas najbliższego tygodnia muszę Panią pożegnać, ponieważ w sobotę udaję się na ośm dni do Ischl, gdzie każę sobie usunąć małą narośl na czole oraz inne narośla na twarzy. Mam nadzieję, że dzięki temu stanę się o wiele piękniejszy!!!”.

PIOTR KUNCEWICZ

WOŁANIE W NOCY

Z głębokości można jedynie nawoływać i to bezskutecznie jednak, wydobycie się z niej na światło dzienne niesposób. Dlatego książka Nienackiego kończy się obrazem śmierci, „nieustannie krążącej nad tym niemym, uspiętym wielkim światem”. To ostatnia myśl bohatera, ale „ostatnia” bynajmniej nie przed śmiercią, ostatnia w epilogu, kiedy Piotr opuszcza szpital, po szczęśliwie udanej operacji. Słowem na pozór sytuacja paradoksalna. Na pozór jednak, gdyż właśnie nieuchronność śmierci, nieodwołalnego mijania jest właściwym tematem książki.

Fabula nie jest specjalnie dynamiczna. Są to dzieje choroby, zapalenia płucnej Piotra, pisarza, dziennikarza i prawnika-amatora w jednej osobie. I archeologa po części. Żadna z tych dziedzin nie pojawia się przygodnie, każda dostarcza materiału do wariacji na zaśnitych temat. Kanwą jest kliniczny niemal opis choroby, od pojawienia się pierwszych symptomów, poprzez kolejne, mylnie diagnozy, badania, zabieg chirurgiczny, rekonwalescencję wreszcie. Sylwetki innych chorych dopełniają obraz. Nie brakuje w nim nieczego; nawet doznań chorego operowanego bez narkozy. Opisy są dosadne, konkretne, chciało by się rzec naturalistyczne.

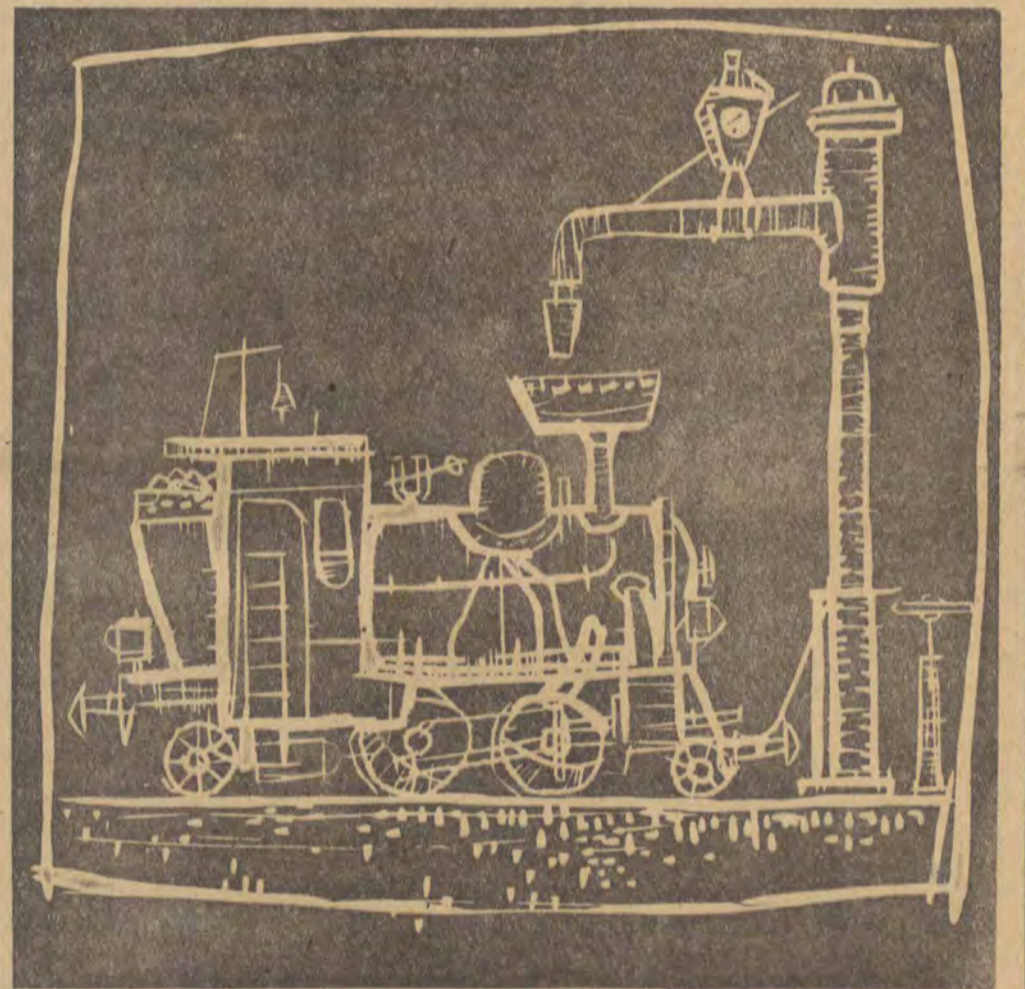
Nie jest to jednak lubowanie się wonią rozkładu, szpotatą szeregów dla nich samych. Nienacki usiłuje przedstawić grozę, „noc ciła”; aby tym jaśniejsze wypadły refleksje ogólne, o znikomości i przemijaniu istoty ludzkiej. Perspektywy człowieka w jego ujęciu nie są zbyt krzepiace, autor nie zostawia właściwie żadnej furki obłożonemu. Przypomina w tym chyba Kafkę, przedstawiając w swojej książce proces wytoczony człowiekowi przez naturę, proces, który musi się skończyć przegrana. Motyw choroby, sposób jej opisanie są oczywiście mannowskie, w ogóle - Nienacki łączy skrupulatnie obiegowe, ulubione tematy literatury współczesnej. Należy do nich oprócz samej choroby prezentacja personelu szpitalnego, traktująca Piotra jako obiekt a nie osobę. Pokazowym bohaterem tej dehumanizacji klinicznej jest profesor Knoll, postać wokół której nagromadziło się najwięcej niedomówień. Reszta personelu symbolizuje różne postawy i właściwości. Jest tu i pielęgniarzka Ewa, przyszła kochanka ozdrowieńca. W tym właśnie miejscu czujemy naj silniejszy powiew „man-

nizmu”, w zespołeniu miłości i śmierci, biologicznej nędzy choroby i pożądania. Obok tego inne tematy. Morderstwo, w którym pożądanie i cielesność grają główną rolę, nieświadomy prawdziwego przebiegu wypadków sąd, refleksje nad rozkopanymi grobami. Nie brakuje i biblii. Dalej - środek wisko literackie Łodzi, do którego być może istnieje jakiś, nieznamy mi zresztą zupełnie, klucz personalny, również i los „każdego”. Wreszcie widać jemne niezrozumienie panujące w rodzinie pisarza też nie jest ornamentacyjnym epizodem.

Bieg wydarzeń przerywają wtręty refleksyjno-esetyczne. O śmierci, o cielesności, o genetyce. Niektedy ciekawe, nie prowadzą jednak do jakiegokolwiek definitywnego wniosku. Nie prowadzi zresztą do niego i cała książka, chyba, że poprzestaliśmy na kręgu, choćby nawet najbardziej posępnych oczywistości. Nie trzeba jednak robić z tego jakiegoś generalnego zarzutu. Tego typu powieści poprzestają raczej, i chyba słusznie, na stawianiu pytań. Zresztą odpowiedzi w pewnym systemie pojęć w ogóle nie są możliwe. Do takich systemów należy właśnie książka Nienackiego. Nie wiecie, zostaje po książkach mnożących jedynie opisy, i sceny rodzajowe, choćby były najlepiej podchwyczone i najściślej opisane. Powieść jest interesująca o tyle, o ile jej fabula realizuje jakiś rozległy plan znaczeń. Książka Nienackiego ten warunek na pewno spełnia. Postaci i wydarzenia mają w niej swój rezonans znaczeniowy.

Można by natomiast mieć pewne pretensje do spójności poszczególnych wątków. Doznania archeologiczne zostały na pewno w pełni włączone w fabulę i to pod wieloma względami. Zarówno w planie związku samych faktów (bohater się przeżył, i znać konsekwencje) jak i znaczeń - odkopuje się przeważnie groby. Ładny jest zwłaszcza fragment o wilgotnym cieniu zmarłego w odkopanym grobie, jedynym śladzie po człowieku, znikającym wraz z wysychaniem piasku. Ale wątek sądu nie został już tak bez reszty wchłonięty. Historia z wyrokiem nie ma żadnego wpływu na losy Piotra a jej związek zniknięty z resztą książki jest niewątpliwie lecz luźny. Czy zresztą Nienacki nie przesadził w mnożeniu planów fabuły? Albo inaczej: czy nie można było więcej wydobyć np. z konfliktu z żoną czy z późniejszej sytuacji trójki? Ale są to pretensje raczej jałowe. „Z głębi bokosci” to powieść interesująca i myśląca, będąca czymś więcej niż profesjonalnym opisywaniem. Nie wszędzie co prawda udało się autorowi utrzymać na wysokości zamierzenia; refleksje są wtedy ciekawe, kiedy składające się na nie plany i spostrzeżenia są zarazem nowe i zaskakujące. Była jaka refleksja nas nie porwie. Powiadano, że i Homer drzemał czasami, tym bardziej mogło się to zdarzyć i Nienackiemu.

Zbigniew Nienacki, „Z głębokości”, Warszawa, Czytelnik, 1964, s. 171.



Te listy, jakkolwiek wzruszające swoją naiwnością i ukazujące Franciszka Józefa, w nowym świetle, przywodzą na pamięć wzdów i polityków, którzy posyłali tysiące mężczyzn i kobiet do obozów, a zarazem kochali dzieci i kazali się z nimi fotografować, którzy słuchali muzyki i lirycznych wierszy, a jednocześnie nie zawahał się wtrącać do kazań swoich współpracowników, którzy czytali dzieła filozofów, a sami podpisywali wyroki śmierci lub skazywali ludzi na tortury.

Franciszek Józef należał do cesarzy, którzy wzbudzali raczej uśmiech, niż uczucie strachu, ale dwoistość natury, tak znamienne dla „sterników now”, i w nim znalazła swoje ucieleśnienie. Oczywiście - cesarze to także ludzie. Może dlatego bywają często tak nie-ludscy.

Jan Kłopotowski

J. Ziółkowski

Notatnik KULTURALNY

20. VII - 26. VII

PONIEDZIAŁEK

Dawniej dostęp do salony nie był łatwy. Dziś salony stają dla szerokiego rzeszy otworem. Salony prawnicze, salony wystawowe, salony handlowe, salony redywny - chciałbym zaważać z okazji otwarcia pewnego salonu. Prasa zachłystywała się entuzjazmem. W salonie owym będą pocztówki i to poczt-

tówki z łódzkimi widoczkami. Darmo ich szukać w ośmiuset łódzkich księgach - w salonie będą. Dlatego podzielam entuzjazm łódzkiej prasy i tylko mocno się dziwię, że nikt dotychczas nie napisał pracy naukowej nt.: „Salony, jako wyraz operatywności handlu”.

WTOREK

„Nie umrę wezwszystek” - mógłby powtórzyć za poetów stary Kunitzer. Jego osławione budy dla tkaczy nie zmiłna ciałdem z powierzoną Łodzi. Część z nich pozostanie jako fragment... łódzkiego skansenu. Encyklopedia podaje, że skansen, to muzeum zabytkowego, unikalnego budownictwa. W naszym wypadku rzecz wygląda nieco inaczej. Drewniane chaty z Kabaty czy Grocholic nie są wcale okazami unikalnymi, tak samo jak drewniane łąderaty. Ale to nieważne. Nawet jeśli łódzki skansen będzie ekspozycją nieco na wyrost, żeby tylko w ekspozycjach nie zechcieli zamieszkać dalszy lokatorzy.

ŚRODA

Jak Polska długa i szeroka na kolonijnych i wczasowych wyjazdach idą dziś roznościowe montaż polityczne. Ubogie i kulawe - silejane przez domorosłych reżyserów zagubionych w potężnym materiale poetyckim. Ale wierzę mi: nie ma ANTOLOGII POEZJI ROCZNICOWEJ (nazwa okropna, ale coż robić), nie ma zestawu wierszy, z którego mógłby skorzystać naukowca czy kawałek. W antologii „Poezja Polski Ludowej” na „kilkaset wierszy nie ma ani jednego fragmentu... łódzkiego skansenu. Encyklopedia podaje, że skansen, to muzeum zabytkowego, unikalnego budownictwa. W naszym wypadku rzecz wygląda nieco inaczej. Drewniane chaty z Kabaty czy Grocholic nie są wcale okazami unikalnymi, tak samo jak drewniane łąderaty. Ale to nieważne. Nawet jeśli łódzki skansen będzie ekspozycją nieco na wyrost, żeby tylko w ekspozycjach nie zechcieli zamieszkać dalszy lokatorzy.

PIĄTEK

Chciałbym napisać słowo w obronie pomnika, w obronie pamięci zmarłych. Jest przy szosie Łódź - Warszawa we wsi Doma-

SOBOTA

Metafora - znaczy figura stylistyczna z takim połączeniem wyrazów, że zyskują one nowe, bar-

NIEDZIELA

Dostał przytka w nos nieoceniony „Przełęcz” i czcigodny B. B. z Łodzi, który wyrwał z kontekstu wiersza Urszuli Kozłot („Odgłosy” nr 21) parę

linijek i wysłał do krakowskiego tygodnika. W pięknym wierszu bowiem uważany, a surowy cytelnik znalazł w tym wyraz „Przełęcz” dół się podpuścić i opatrzył fragment szalenie dowcipnym komentarzem. „Przełęcz” jest jednak (nigdy w to nie wątpię) piśmem uczciwym - ostatnio opublikował cały wiersz Urszuli Kozłot z zarliwą obroną tekstu piera Wojciecha Siemiona. Bo rzeczywiście - „Koleda” jest pięknym wierszem, a czcigodny B. B. z Łodzi przypomina księdza, który (pisze o tym Boy) w czasie wojny w frontowym szpitalu mieszczącym się w jakimś pałacu, oprowadzany jedną obsesją pobłukiwał antycznym posągiem genitalia. Ow księdz nie widział rannych i okropności wojny i śmierci, widział tylko „nie-skromne posagi”. Pan B. B. z Łodzi podobnie - brydykie słowo przesłoniło mu horyzont. Strasznie trudno żyć z takim specyficznym bielmem.

JERZY WILMANSKI



Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfons Stelcovek

4 lutego 1960

Kochana Mamo!

Wybacz mi, że nie pisałam tak długo. Ale przez cały ostatni tydzień byłam w takim stanie, że nie mogłam utrzymać pióra w dłoni. Minął zaledwie rok od chwili, gdy Joe odszedł z pracy w Wydziale Kryminalnym. I wciąż jeszcze myślę o tych zbrodniarzach, z którymi miał do czynienia, doprowadzając mnie do stanu, graniczącego z przerażeniem. Wiesz przecież, Mamo: oni nigdy nie zapominają i nigdy nie wybaczą. A Joe tak wielu z nich posadził do więzienia. Nie dziw się więc, że jestem teraz kłębkiem nerwów. Możesz sobie wyobrazić, co czułam ostatniego tygodnia, gdy z poranną pocztą przyniesiono nam ten okropny list. Był to jeden z tych brutalnych listów bez podpisu. Joe domyślał się jednak, kto go wysłał. To ten Willy Luddock, który ostatnio został ulaskawiony i wyszedł z więzienia w styczniu. Pamiętasz zapewne tego Luddocka, przypominał ogromnego goryla, Joe aresztował go w 1945 roku, pod zarzutem zabójstwa jakiegoś szewca. Dziwnie, że tacy ludzie, tacy mordercy, są ulaskawiani. Gdy tylko Joe zobaczył ten list, zaraz wiedział, że nadawcą jest Willy Luddock. Mówiliśmy o tym Luddocku już przed nadejściem listu, zastanawiając się, co będzie robił po wyjściu z więzienia. No i możesz sobie wyobrazić, że o mało nie umarłam, gdy zobaczyłam ten list. W liście było napisane, że Joe otrzyma to, na co zasłużył i że nie zostało mu już zbyt wiele czasu i że najlepiej zrobi, jak zacznie się modlić. Wiesz, jaki jest Joe. Nie tak łatwo jest go przestraszyć. Skończyło się na kilku przekleństwach, choć prosiłam go, by zawiadomił o tym liście Wydział Kryminalny, a przynajmniej Sama Crawforda. Nie wiem, czy oni mogliby coś zrobić z tym listem, ale z pewnością zapewniłby nam jakąś ochronę. Joe tylko zezłościł się na mnie i powiedział, że sam da sobie radę z tym mordercą i że nie mi do tego. Nie więcej, Mamo, nie mam Ci do napisania. Od-

kąd mamy w domu ten list, nie mogę myśleć o czymś innym. Jeśli Joe otrzyma jeszcze jeden list, będę jednak stanowczo nalegała, by zawiadomił policję.

Pragnęłabym być teraz, gdy jesteś chora, przy Tobie. Gdybyś mogła zamieszkać z nami, pielęgnowałabym Cię z radością. Ale wiesz sama, że to jest niemożliwe. Ucałuj ode mnie Poochie.

MARTA

6 lutego 1960

JOE QUINN. Zostało Ci jeszcze kilka dni życia, ty trupie. Na razie śpij spokojnie.

TFOJ MORDERCA

JOZEF HELLER Tfoj MORDERCA

7 lutego 1960

Porucznik Sam Crawford Wydział Kryminalny DROGI SAMIE!

Czyżby Twoja Zona wzięła Cię już całkiem pod panotofel? Czy nigdy już nie uda się nam wyrwać gdzieś razem na kilka dni? Nie piszę jednak tym razem po to, by Cię wyciągnąć spod fartucha żony. Sprawa jest poważna. Nie muszę Ci przypominać, że każdy, kto pracuje lub pracował w Wydziale Kryminalnym, łatwo zyskuje sobie wrogów. Nim odszedłem z policji, zrobiłem listę ludzi, którym mogłem się narazić. Etyla to długa lista, no i okazało się, że nie pomyliłem się, sądząc, że ci ludzie będą mnie szukać. Mniej więcej tydzień temu otrzymałem list z pogrozkami. Napisany był na zwykłym, żółtawym papierze, wielkimi, prostymi

literami. Wczoraj nadszedł drugi list, całkiem przypominający ów poprzedni.

Uwierz mi, nie lekam się niczego. Bo i co może mi się przydarzyć? Facet, który wysłał te listy, chce mnie zapewne śmiertelnie przestraszyć i prawdopodobnie, powtarzam — prawdopodobnie, nie ma zamiaru spełnić swoich pogrozek.

Jedynym błędem, jaki popełniłem, było pokazanie tych listów Marcie. Jak wiesz, Marta jest bardzo nerwowa. Nawet wówczas, gdy wszystko jest w porządku, postępuje tak, jakby niebo miało się lada chwila zawalić, a gdy pokazałem jej listy, przeraziła się do tego stopnia, że musiałem wysłać ją do lekarza.

Sądzę, że uda mi się sprawę tych listów szybko wyjaśnić, domyślam się bowiem, kto je wysłał. Jestem prawie pewien, że nadawcą był Willy Luddock, ten sam, który w 45 zamordował szewca. Mówiło się wówczas jak zwykłe wiele o brutalności policji i adwokatów Luddocka o mało nie przekonał sędziów, że jego klient jest naszą ofiarą. Minęło 15 lat i znów musimy spotkać się oko w oko z mordercą.

W tym dniu, kiedy zapadł wyrok — nie zapomnę nigdy tego dnia — Willy obrócił się do mnie i przysięgł głośno, że zabije mnie, gdy tylko znajdzie się na wolności. Mogłem i miałem prawo zastrzelić go w chwili aresztowania i teraz żałuję, że tego nie zrobiłem.

Co Willy może teraz uczynić? Mieszkam na przedmieściu. Wokół niewiele domów i wiele przestrzeni. Noszę przy sobie pistolet. Willy musiałby spotkać się ze mną twarzą w twarz. Na to się nie zdobyje, znam takich jak on.

Zrozum mnie dobrze, Sam. Nie wskocz aby natychmiast do jednego z tych nowych Fordów, którymi teraz się posługujecie. Zostań tam, gdzie jesteś. Nie potrzebuję pomocy. Powtarzam. Nie potrzebuję pomocy. Jestem czło- wiekiem starej daty i lubię stare metody działania. Musisz przyznać, Sam, że Wydział Kryminalny jest teraz leczniczą dla nerwowo chorych a nie Wydziałem Kryminalnym. Luddockowi zostało by drukowane na czerwonym papierze zaproszenie. Psychiatra zmierzyłby mu puls. A potem jakiś adwokat znów mówiłby o brutalności policjantów.

Dam Ci znać, jak sprawa się rozwija. Nie przejmuj się nią nadmiernie. Do zobaczenia.

JOE

10 lutego 1960

JOE QUINN! Wiem, za co. Wiem, jak. Wiem, kiedy Cię zabije. Do zobaczenia, Joe.

TFOJ MORDERCA

13 lutego 1960

Porucznik Sam Crawford Wydział Kryminalny DROGI SAMIE!

Dziękuję Ci za Twoją propozycję. Ale nie chcę jej przyjąć. Nie wydusisz niczego z Luddocka, sadzając go w fotelu i zadając mu pytania. Będzie Ci się wymykał i co zrobisz wówczas? Nic.

Osiągniesz tylko tyle, że Willy dowie się, że jestem zaniepokojony. A do tego właśnie dąży. Przesyłam Ci ostatni jego list. Uśmiałem się serdecznie, czytając go. Willy spędził w więzieniu 15 lat, uczono go tam czytać i pisać, i okazuje się, że niczego go jednak nie nauczyło. Tfoj morderca! Tfoj! Jak to Ci się podoba?

Być może, będę miał okazję, by dać Willemu lekcję poprawnej pisowni i poprawnego zachowania. Jeden z moich przyjaciół wystarał się dla mnie o jego adres. Poszedłbym tam już wczoraj, gdyby nie to, że miałem przykrą rozmowę z Martą. Marta chce, by jej matka przyjechała do nas na tydzień. Tego jeszcze tylko brakowało! Ale jutro z pewnością odwiedzę Luddocka. Listy brzmią groźnie, nie sądzę jednak, by Willy okazał się groźny. Zmieknie szybko, jestem tego pewien.

Nie próbuj mnie tylko zatrzymać. Nie zdążyłbyś zresztą, w chwili gdy dostaniesz ten list będzie już po wszystkim. Wpadnę do Ciebie w przyszłym tygodniu i wszystko opowiem. Do zobaczenia

JOE

15 lutego 1960

Inspektor George Blankenship Wydział Kryminalny DROGI GEORGE!

Podaję wstępne wyniki badań, dotyczących sprawy Luddocka. Myślę, że pewne fakty będzie można pominąć w oficjalnym sprawozdaniu. Joe Quinn był porządnym

facetem i zasłużył chyba na to, by wyglądać dobrze nawet po śmierci.

Fakty przedstawiają się tak. Quinn w ciągu ostatniego miesiąca otrzymywał listy z pogrozkami i z łatwością domyślił się nazwiska nadawcy. Willy Luddock, którego Joe niegdyś aresztował pod zarzutem zamordowania szewca nazwiskiem Donzetti, wyszedł z więzienia tuż przed dniem doręczenia pierwszego listu. Pisano o tym w gazetach i nie było to dla nikogo tajemnicą. Luddock żywił urazę do Quinna. Dwa i dwa czyni cztery.

Czuł się winny, że zwlekałem z wkroczeniem w tą sprawę. Joe napisał do mnie i przesał mi jeden z listów. Ale gdy poradziłem mu, by przekazał sprawę naszemu Wydziałowi, uparł się i postanowił działać sam. Nie sądziłem wówczas, by coś rzeczywiście groziło. Joe nie był dzieckiem i spodziewałem się, że w najgorszym wypadku uszkodzi cokolwiek Luddocka. Nie przypuszczałem, że będzie miał przy sobie pistolet. Wiesz, co może się zdarzyć, gdy dwóch takich facetów spotka się ze sobą. Joe siedzi za Luddockiem do starego domu czynszowego i wpakował się za nim do mieszkania. Luddock zapewne udawał głupiego i twierdził, że nie wie o listach. Joe wziął się do roboty i Luddock nie pozostał mu zapewne dłużny, bo do sporu został wmieszany pistolet. Ale Luddock odżył się nieźle w więzieniu a Joe był ostatnio do niczego, kuchnia Marty wyraźnie mu nie służyła. Nie wiem, czy Luddock chciał czy nie chciał użyć broni, ale było to, jak

sam teraz twierdzi, nieuniknione. Joe siedzi na niego i Luddock pociągnął za spust i trafił w pierś. Joe umarł, jak utrzymuje lekarz, natychmiast. Oczywiście, moi chłopcy z Wydziału są rozjuszeni i myślą, że uda im się posłać Luddocka na krzesło elektryczne. Nie sądzę byśmy mieli trudności z wsządzeniem go na kilka lat. Trzeba jednak pamiętać, że działał w obronie własnej. Nawet jeśli wysłał te listy, do czego się nie przyznaje, za kilka dni przekażę dokładny raport w tej sprawie.

PORUCZNIK SAM CRAWFORD

18 marzec 1960

KOCHANA MAMO!

Dziękuję ci za placek. Odkąd umarł Joe, czuję się tak źle, że nie sądziłam, bym mogła cokolwiek zjeść ze smakiem. Ale placek był wysmienity.

Powoli wszystko się uspokaja. Przyszedł dziś człowiek z komisji i oglądał meble, które Joe kupił do swego gabinetu. Cena, jaką zaproponował, jest nikczemna. Ale wiem, że będziesz wolała spać w swoim łóżku, więc te stare meble muszę sprzedać. Czy zamówiłaś już taragarzy?

Sam Crawford pisał do mnie wczoraj. Ten Willy Luddock poszedł do więzienia, ale dostał tylko kilka lat. To obrażające. Joe zostanie jednak pośmiertnie odznaczony medalem. Zasłużył sobie na to. Pracował przecież w policji trzydzieści lat. Nie mogę się już Ciebie doczekać.

TFOJA MARTA



Lewym okiem

O POKRZYWACH

Każdy z nas, ludzi cierpiących, wysoko cenimy swą chorobę i byle czym leczyć jej nie pozwolimy. Mówię: każdy, bo nie znam nikogo, kto by jak maskotki nie nosił w zanadrzu jakiejś oswojonej, ulubionej dolegliwości — a czym ona łagodniejsza i głębiej schowana, tym większej wymaga estymy.

Co innego, jeśli to jest urtica dioica et massa tabulae. Jeszcze lepiej, jeśli to będzie napisane całkiem niezwykłej znakomicie zaś podnosi własność lecznicze substancji jej cena — czym lekarstwo droższe, tym lepsze... No, ale są przypadki, kiedy lekarz mimo najlepszych chęci nie widzi lepszego ani równie dobrego środka wśród modnych, drogich, zagranicznych nowalijek niż jakiś stary pocztowy kwas borny za-

barwiony wyciągiem z lancet-watej babki. Cała ewiartka parę złotych. Wtedy zaczyna się zmartwienie.

Albowiem aptekarze, przeważnie też nie lubią tanich lekarstw. O wiele łatwiej powiedzieć klientowi, kiedy już odezwał grzecznie swój kwadrans w kolejkę, że nie ma, niż mieszać, warzyć, cedzić, studzić. Kryzys wykonania planu ani drgnie od takiej roboty. Nie ma!

Nie ma nieraz w całej Łodzi, a w niektórych aptekach szczególnie często. W tych, gdzie pracuje się na zdrowych, ekonomicznych zasadach, z ołówkiem w ręku. Czasem tylko dla urozmaicenia zamiat „nie ma”, mówi się — pan rozumie, okres urlopowy, nie mamy dwóch sil,

w innej aptece zrobłą panu szybkiej. Fakt, że okres urlopowy działa również nie tylko w innych aptekach, lecz także po drugiej stronie bary, że nie ma aktualnie żadnej epidemii, że potowa klientów stoi w tej chwili w kolejkach nie tu, lecz w Ustroniu i w Polanicy — ten fakt się nie liczy, jak każdy fakt w zekłnieciu z pretekstem do blimbania.

Zdrowe zasady ekonomiczne prowadzą czasem do niezdro- wych wniosków. Oburzał się ktoś niedawno w łódzkiej prasie, że ludzie z dyplomami magisterskimi pełnią w aptekach funkcje ekspedientów. Wylczył ten ktoś ile kosztuje wykształcenie magistra farmacji i stwierdził bez pudła, że koszty te społecznie się nie

amortyzują. Wystarczy postawić w aptece technika-sprzedawcę, też potrafi podać wate i pabiałinę, a w razie potrzeby — dodajmy od siebie — powiedzieć „nie ma”. Zamiast więc podnosić kwalifikację do maximum — obniżmy ją do niezbędnego minimum, bo to taniej kosztuje.

Proszę bardzo. Po co żeby ma wyrwać dyplomowany i kosztowny lekarz dentysta, kiedy może to zrobić kowal? Po co kowala uczyć czytania i pisania, jeśli będzie całe życie podkuwał konie i wyrzywał zęby? Analizeta z łatwością zastąpi lekarza. Kształcimy wielostronnie, z wielkim nakładem kosztów, inżyniera, a potem idzie taki do fabryki spinaczy biurowych, gdzie wystarczyby druciarz. Nie mó-

wię już o niektórych instytucjach naukowych, przelodowanych doktorami i docentami. Po co? Dla robienia wyciągów z prasy zagranicznej wystarczy pręmiгранt ze znajomością języka, tym bardziej, że tych wyciągów i tak nikt nie czyta.

Technik-sprzedawca w aptece byłby przyjemnym obławem zrównania branż w handlu detalicznym. Przecież sprzedawca bułek nieraz przenosi się do konfekcji, potem do tyśnaka i jeden drobiaz-gów, wreszcie do mydlarni. Bajmy mu jeszcze szanse na aptekę. Będziemy we wszystkich branżach obłudnie równie dobrze „dobrze” — powie działem, żeby nie uchodzić za złośliwego.

CWIEK

Komitet redakcyjny: Halma Bekowska, Wacław Billński (red. naczelny), Konrad Frejdlieb, Wanda Karczewska, Tadeusz Papler, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. - Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” - Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 98. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraća - Prenumerata przy- mują wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz PUPIK „Ruch” - z zaznaczeniem: na „Ogłoszy” Druk: RSW „Prasa” - Łódź. Zwirki 17. Zam. 2397. VII. 64. F-4.